

Federacjonizm po polsku

26 grudnia 2011

Berlińskie wystąpienie Radosława Sikorskiego w opinii większości komentatorów było przełomową, niezwykle proeuropejską deklaracją i zwrotem w polskiej polityce zagranicznej. Zgodnie z przewidywaniami Jarosław Kaczyński natychmiast oskarżył rząd o zdradę polskiej racji stanu i zamach na niepodległość państwa, a SLD i Ruch Palikota zadeklarowały pełne wsparcie dla propozycji Sikorskiego. Czy faktycznie pomysły ministra spraw zagranicznych są aż tak nowatorskie i wykraczają poza deklaracje wcześniejszych polskich rządów?

POLSKA SCHIZOFRENIA

Jeszcze przed przystąpieniem do Unii Europejskiej polskie podejście do integracji nie było jasne. Przywódcy polskiej prawicy wprost odcinali się od głębszego zjednoczenia, a przedstawiciele rządzącej lewicy deklaratywnie opowiadali się za pogłębioną integracją, ale w praktyce wysyłali UE niejasny przekaz. Pod koniec 2002 roku Polska wybrała przetarg na amerykańskie samoloty F-16, a nie francuskiego Mirage lub szwedzko-brytyjskiego Gripena. W styczniu 2003 roku rząd Leszka Millera podpisał „List ośmiu” i wbrew znacznej części państw Unii Europejskiej przyłączył się do agresji przeciwko Irakowi. W połowie 2003 roku Danuta Huebner podpisała się pod listem przeciwników pogłębionej reformy Unii Europejskiej. Platforma Obywatelska miała do Unii jeszcze bardziej sceptyczne podejście. We wrześniu 2003 roku ówczesny poseł PO Jan Maria Rokita w imieniu swojej partii krzyczał z trybuny sejmowej „Nicea albo śmierć”, zachęcając do fiaska negocjacji Polski z Unią.

Po przystąpieniu Polski do UE konsekwentnie odcinaliśmy się od pogłębionej integracji ze strukturami unijnymi. Od początku członkostwa nasz rząd uparcie deklarował, że nie zgodzi się na

jakiegokolwiek ujednolicenie stawek podatkowych czy wprowadzenie minimalnych unijnych standardów płacowych. Za to w latach 2005-2006 Polska dążyła do wdrożenia liberalnej dyrektywy Bolkesteina, która zmierzała w kierunku komercjalizacji i prywatyzacji unijnego rynku usług. Jej przyjęcie w pierwotnej wersji przyczyniłoby się do pogorszenia warunków życia w rozwiniętych państwach Unii. W 2006 roku Francja i większość krajów UE chciało ograniczyć dopuszczalny tygodniowy czas pracy we wspólnocie do 48 godzin. Polska i Wielka Brytania zablokowały dyrektywę w tej sprawie, domagając się, by pracownik mógł dobrowolnie wydłużyć czas pracy ponad 48 godzin. W październiku 2007 roku rząd Jarosława Kaczyńskiego zdecydował, że nie podpisze Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej w jej pełnym kształcie. Mimo początkowych sprzeciwów względem podejścia PiS-u, Donald Tusk do dzisiaj nie zdecydował się na pełną ratyfikację Karty. Aby dopełnić ten obraz, warto przytoczyć wypowiedź unijnego komisarza z ramienia PO, Janusza Lewandowskiego, który w niedawnej sondzie dla „Przeglądu” ogłosił, że Europa federacyjna i wspólny rząd unijny „to na pewno nie jest cel takich krajów jak Polska, które 20 lat temu doczekały się pełnej suwerenności”. Warto pamiętać, że sam Sikorski jako członek rządu Kaczyńskiego jeszcze kilka lat temu jednoznacznie odcinał się od federacyjnej wizji Unii. Czyżby więc minister spraw zagranicznych radykalnie zmienił poglądy, na dodatek występując przeciwko opiniom wciąż bronionym przez swoich kolegów partyjnych?

CO POWIEDZIAŁ SIKORSKI?

Wbrew opiniom większości komentatorów wystąpienie Sikorskiego nie wniosło praktycznie niczego nowego do polskiej polityki zagranicznej. Pozytywne propozycje szefa MSZ odnoszą się wyłącznie do tego, aby wszystkie państwa Unii przestrzegały surowych reguł w polityce finansowej: „Dyscyplina finansowa uległaby wzmocnieniu dzięki temu, że dostęp do funduszy ratunkowych mieliby tylko ci członkowie, którzy przestrzegają

reguł makrofiskalnych, sankcje stałyby się automatyczne, a Komisja, Rada i Trybunał Sprawiedliwości uzyskałyby uprawnienia do egzekwowania 3% pułapu deficytu i 60% pułapu zadłużenia". Ponadto Sikorski chce przekazania Komisji prawa do karania krajów chcących prowadzić bardziej autonomiczną politykę: „Członkowie strefy euro, którzy naruszają Pakt Stabilności i Wzrostu, będą poddawani sankcjom prawie niemożliwym do zablokowania przez zastosowanie presji politycznej". Gdy więc dany kraj miałby poziom deficytu przekraczający 3% (Polska ma obecnie prawie 6%!), a jego rząd chciałby utrzymać wzrost płac w budżetówce kosztem większego zadłużenia, Unia mogłaby uniemożliwić tego typu rozwiązania i wprowadzić sankcje. Przykład funkcjonowania tego typu reguł widzimy już w Grecji, gdzie setki tysięcy ludzi sprzeciwiają się decyzjom władz, a te nie przejmują się oczekiwaniami społeczeństwa. Zamiast jednostronnie ogłosić anulowanie lub odsunięcie w czasie spłaty długów wobec banków i znacznie podwyższyć podatki dla najbogatszych, Grecja pozbawia swoich obywateli prawa do godnej przyszłości. W dalszej kolejności do podobnych rozwiązań mają być zmuszone Włochy, Hiszpania i Portugalia. Kraje, które zbyt głośno formułowałyby swoje oczekiwania, miałyby odebrane prawo głosu: „Komisja otrzymałaby uprawnienia do ingerowania w polityki krajów, które nie mogą spełnić swoich zobowiązań. Kraje uporczywie łamiące zasady byłyby zawieszone w swoich prawach głosu" – powiedział minister Sikorski.

NIEMCY NA RATUNEK

W wystąpieniu Sikorskiego pojawił się jeszcze jeden element, który szczególnie rozsierdził PiS, a mianowicie wątek proniemiecki: „Mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa". Ten fragment wystąpienia szefa MSZ faktycznie może zadziwiać, biorąc pod uwagę dotychczasową ostrożność kolejnych polskich rządów w relacjach polsko-niemieckich.

Odpowiedzi na pytanie, skąd apel do Niemców o wsparcie, udzielił Donald Tusk w swoim éxpose. Zamiast projektu całościowego rozwoju kraju premier ogłosił stopniowe pogarszanie się warunków życia większości społeczeństwa. Przekaz zawarty w éxpose premiera jest prosty: Sytuacja zdecydowanej większości społeczeństwa pogorszy się. Zrobimy wszystko, aby warunki życia pogarszały się stopniowo, a nie skokowo. Będziecie pracować dłużej, ciężiej i za mniejsze pieniądze. Świadczenia publiczne będą niższe i bardziej selektywne. Bez bolesnych cięć rynki finansowe i agencje ratingowe mogą wkrótce ogłosić upadłość polskiej gospodarki.

Minister Sikorski w pełni zrozumiał przesłanie swojego szefa: jesteśmy na skraju katastrofy i bez pomocy zewnętrznej możemy utonąć. Jego wystąpienie to apel do Niemiec o to, aby w razie katastrofy ratowały Polskę przed zapaścią. Trudno się dziwić niepokojowi i prośbom Sikorskiego, biorąc pod uwagę mizerny stan polskiej gospodarki, a zarazem siłę Niemiec w Unii Europejskiej. Jednocześnie Sikorski i Tusk skrupulatnie ukrywają bolesny fakt, że Polska nie jest potrzebna Niemcom ani innym bogatym członkom UE. W razie zapaści polskich finansów kraje strefy euro mogą nie mieć ochoty na ratowanie polskiej gospodarki, a po prostu pozwolą na jej upadek. To my potrzebujemy Unii, a nie Unia nas. W tej sytuacji żądanie Polski, aby Niemcy odpowiadały za powodzenie całej Unii, może wydawać się nieco bezczelne. Chodzi bowiem ostatecznie o to, aby Niemcy obiecały, że będą za wszelką cenę ratować Polskę, gdy jej gospodarka zacznie się „sypać”. Zdaniem Sikorskiego na tym ma polegać europejska solidarność. Co Polska może w zamian oferować Niemcom i innym krajom Unii? „Wnosimy nasze niedawne doświadczenie pomyślanej transformacji z dyktatury do demokracji i z chorej gospodarki nakazowo-rozdzielczej do coraz lepiej rozwijającej się gospodarki rynkowej”. Tłumacząc tę frazę na język dyplomacji, oznacza ona: „Nic”.

Co ciekawe, Sikorski w swoim berlińskim wystąpieniu otwarcie ogłosił, że Polska nie zgodzi się na pogłębioną integrację z

Unią na wielu istotnych obszarach: „Niektóre prerogatywy, takie jak szeroko pojęte kwestie: tożsamości narodowej, religii, stylu życia, moralności publicznej oraz stawek podatku dochodowego i podatku VAT, powinny na zawsze pozostać w gestii państw. Nasza jedność nie ucierpi na różnicach w godzinach pracy lub zapisach prawa rodzinnego”. Innymi słowy, rząd chce kontynuować neoliberalną politykę wcześniejszych ekip.

CO DALEJ?

Zgodnie z deklaracjami ministra Sikorskiego, Polska wniosła do Unii pewną wizję kapitalizmu – kapitalizmu opartego na niskich płacach, niskich podatkach i wydatkach socjalnych, niskich wskaźnikach zatrudnienia, zderegulowanym rynku finansowym i małej roli sektora publicznego. Niestety, ta wizja skompromitowała się. Wszystkie kraje najbardziej dotknięte przez kryzys szły właśnie polską drogą: cięcie, liberalizacji, prywatyzacji, deregulacji. Najpierw był krach irlandzkiej „zielonej wyspy”, potem uwielbianych przez liberałnych ekonomistów „tygrysów” nadbałtyckich, teraz Grecji, która kolejnymi reformami coraz bardziej pogrąża się w kryzysie. Dzisiaj Niemcy i inne rozwinięte kraje mówią głośno o restrykcyjnej polityce finansowej, ale poza tym na skalę krajową uruchamiają potężne pakiety antykryzysowe i chronią rodzime miejsca pracy. Polska chce narzucić sobie i innym surowe zasady odnośnie długu i deficytu, a zarazem nie prowadzi aktywnej polityki inwestycyjnej i zatrudnienia. Bez tych dodatkowych instrumentów ochronnych restrykcyjna polityka finansowa ogranicza się do obniżania jakości życia i wsparcia dla rynków finansowych. W dłuższej perspektywie dla biedniejszych krajów UE to droga do katastrofy. Sikorski chce leczyć gripę świńską gripą. Zamiast ożywiać koniunkturę w krajach pogrążonych w recesji, proponuje pogrążyć w kryzysie całą Europę.

W samym oczekiwaniu, by kraje członkowskie przestrzegały pewnych reguł w polityce finansowej, nie ma nic złego. Życie

na kredyt w dłuższej perspektywie może okazać się zgubne. Kłopot w tym, że walka z deficytem odwraca uwagę od głównych przyczyn kłopotów, w jakie popadła Europa. Turbulencje w UE nie są spowodowane nadmiernym zadłużeniem Grecji, tym bardziej, że część państw znacznie od niej bogatszych do niedawna była bardziej zadłużona. W równie głęboki kryzys jak Grecja popadły też niedawno kraje o znacznie lepszych wskaźnikach finansowych – Irlandia, Litwa czy Łotwa. Mało kto pamięta, że cztery lata temu załamanie tych krajów było jeszcze głębsze niż obecnie w Grecji. Głównymi czynnikami odpowiedzialnymi za kryzys niektórych krajów unijnych są: brak regulacji w sektorze bankowym, nadmiar kapitału spekulacyjnego i słabość instytucji publicznych w walce z negatywnymi zjawiskami. Dlatego w obecnej sytuacji UE powinna ograniczać samowolę instytucji finansowych i spekulantów poprzez wprowadzenie podatku Tobina oraz stymulować popyt wewnętrzny aktywną polityką płacową oraz dużymi inwestycjami publicznymi we wszystkich krajach członkowskich.

Tymczasem jedynym wymiarem integracji wskazanym przez Radosława Sikorskiego, Nicolasa Sarkozy'ego i Angelę Merkel jest zaostrenie kryteriów finansowych, czyli troska o dług i deficyt, nawet kosztem wzrostu bezrobocia i spadku konsumpcji. To bardzo niebezpieczny kierunek przemian. Najgorszą możliwą drogą, którą mogłaby teraz pójść Unia, są cięcia socjalne oraz zmniejszanie płac, rent i emerytur. Oznaczałyby one bowiem spadek popytu w krajach unijnych, masowe bankructwa i wzrost bezrobocia. Projekt państwa opiekuńczego nieopatrzenie odrzucony w latach 1980. dzisiaj jest znowu aktualny. Tylko wyższe płace, wzrost bezpiecznego zatrudnienia i większa kontrola sektora finansowego mogłyby wyprowadzić Unię z kryzysu. Te rozwiązania trzeba wprowadzać nie tylko w poszczególnych krajach UE, ale w całej Wspólnocie. Widać, jakie państwa obecnie najlepiej sobie radzą z kryzysem. Są to przede wszystkim skandynawskie welfare states. One nie muszą oglądać się na Polskę i innych członków nowej Unii. Jeżeli chcemy być w awangardzie Unii Europejskiej, idźmy śladem tych

państw. Alternatywa jest prosta: Europa opiekuńcza albo regres.

Autor: Piotr Szumlewicz

Źródło: [Lewica](#)